



Maria Jasienowicz (1914-1979)
emerytowany starszy kustosz dyplomowany,
b. wicedyrektor Biblioteki Głównej UMCS,
b. kierownik Oddziału
Gromadzenia Zbiorów

Urodzona w 1914 r. w Pułtusku, wczesne dzieciństwo spędziła w Rosji, okres szkolny w Radomiu, gdzie ukończyła Gimnazjum im. M. Konopnickiej. Rozpoczęte przed wybuchem wojny studia psychologiczne kontynuowała na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, wieńcząc je pracą magisterską, napisaną pod kierunkiem prof. Stefana Baleya.

W okresie okupacji spędzonej w Warszawie trudniła się nauczaniem dzieci upośledzonych, równocześnie pracowała w Radzie Głównej Opiekuńczej a od 1943 r. — w Ośrodku Zdrowia i Opieki Społecznej. Brała czynny udział w Powstaniu Warszawskim w charakterze łączniczki; między innymi — w ramach Wojskowej Służby Kobiet — przeprowadzała kanałami żołnierzy i oficerów ruchu oporu. Za tę działalność została odznaczona Krzyżem Partyzanckim oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności. Wyrazem uznania za pracę społeczną i zawodową stały się przyznane M. Jasienowicz odznaczenia, m.in.: Złoty Krzyż Zasługi, Złota Odznaka ZNP, medal „Nauka w Służbie Ludu” oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

30 LAT PRACY NA UNIWERSYTECIE MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ W LUBLINIE. WSPOMNIENIA Z LAT 1946-1976

Do Lublina przyjechałam w 1946 r. Poza mną była wojna i okupacja, powstanie warszawskie i pierwszy rok wolności, spędzony wśród gruzów stolicy. Pracowałam tam w Wydziale Opieki Społecznej, zajmując się głównie ekshumacjami i odgruzowywaniem. Od 1 października 1946 r. zaczęłam pracować w Lublinie jako st. asystent w Zakładzie Psychologii UMCS u prof. T. Tomaszewskiego. W roku 1950, po zlikwidowaniu zakładu, przeniesiono mnie do Biblioteki Głównej UMCS. Do pracy przyjmował mnie ówczesny kierownik biblioteki, mgr Wł. Skoczylas. W tamtych latach biblioteka zajmowała kilka lokali w różnych punktach miasta, z których największe były pomieszczenia przy ul. Staszica 4, gdzie mieściła się dyrekcja, oraz przy Placu Litewskim 3 w gmachu Wydziału Prawa, gdzie była wypożyczalnia i czytelnia.

Pracę bibliotekarską rozpoczęłam 1 X 1950 r. w budynku przy ul. Staszica 4. Była tam duża sala, wzdłuż której stały regały, po środku zaś stoły, przy których siedzieli pracownicy. Przydzielono mi miejsce i dano stos książek z oprawy do sprawdzenia w zeszycie, czy wszystkie zwrócono z intrologatorni. Było to zajęcie dość uciążliwe, gdyż książki były wymieszane, zapisy przypadkowe, stąd poszczególnych numerów każdej książki trzeba było szukać na kilkunastu stronach zeszytu. Po 7 godzinach tej nudnej pracy byłam zrozpaczona i pomyślałam, że jak tak doleć będzie, zanudzę się na śmierć. W następnych jednak dniach sytuacja poprawiła się na lepsze. Odesłano mnie do wypożyczalni przy Placu Litewskim 3. Był tam maleńki, przechodni pokój, gdzie czytelników oddzielało od dyżurującego tylko biurko. Po lewej stronie bibliotekarza były drzwi do magazynu książek, a po prawej było niewielkie pomieszczenie po sufit zarzucone stosami książek nie opracowanych. W tym to pomieszczeniu spędziłam pierwsze miłe chwile w bibliotece. Na stosach książek urządziłyśmy sobie z mgr Z. Paszewską, moją pierwszą koleżanką biblioteczną, „śniadania poetyckie”. Popijając herbatę czytywałyśmy poezje Staffa, Tuwima, Maryli Wolskiej, odnajdując urok „pożółkłych ksiąg, gdzie uschła wiednie niezapominajka”. W wypożyczalni też, o zgrozo, często czytywałam książki w godzinach urzędowych, trzymając je w szufladzie, jak niegdyś pod ławką w szkole. Głównie były to powieści historyczne Bunscha, Malewskiej, które znalazłam między podręcznikami akademickimi w magazynie. Sielanka w wypożyczalni trwała krótko, odwo-

łano mnie do innych prac. Polecono mi urządzenie gabinetu marksistowsko-leninowskiego dla wykładowców w pobliżu czytelni. Tam jakiś czas pełniłam dyżury, potem przeszłam do opracowania czasopism. Pierwsza moja satysfakcja z pracy — to urządzenie magazynu czasopism, które sama dobrałam i skatalogowałam, a potem ułożyłam na półkach.

Lata 1950—1952 były niespokojne. Komisja uczelniana powołana przez p.o. rektora J. Parnasa, dokonywała częstych kontroli pracy w bibliotece. Spowodowane to zostało donosem, jakoby „źle się działo”. Prawda była inna. Biblioteka znajdowała się w tragicznej sytuacji lokalowej; wiele książek, sprowadzonych ze Śląska, zalegało po piwnicach, butwiało; brakowało też wyszkolonych pracowników i etatów. Na skutek niesprzyjającego klimatu jaki wytworzył się w wyniku pracy komisji Wł. Skoczylas — kierownik biblioteki, złożył rezygnację i przeniósł się do pracy w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego w Warszawie.

Obowiązki kierownika biblioteki przez kilka miesięcy pełnił młody geograf Jerzy Panas. Dzięki jego zabiegom biblioteka w krótkim czasie opracowała dużą ilość książek, angażując fundusz prac zleconych. Kilkakrotnie zastępowałam kierownika Parnasa. Pewnego dnia oznajmił mi, że od dnia następnego będę pełnić funkcję kierownika oddziału opracowania. Nie chciałam się na to zgodzić, gdyż nie miałam pojęcia o katalogowaniu, ale kierownik wręczył mi *Przepisy katalogowania* Grycza i Borkowskiej i powiedział, żebym je sobie przeczytała wieczorem, a od jutra będę robić korektę książek. Tak się stało. Roboty miałam dużo. W bibliotece pracowało wówczas dużo studentów na pracach zleconych, książek do korekty nie brakowało. Cała sala przy ul. Staszica 4 wypełniona była pracownikami, a ja jako „nauczycielka”, poprawiałam, udzielałam instrukcji, sama niezbyt mocna w trudnej sztuce katalogowania.

W roku 1952 wyjechałam po raz pierwszy na 2-tygodniową praktykę do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Pobyt tam zachęcił mnie do nowego zawodu. Biblioteka UW miała wspaniałe księgozbiór, katalogi! Szczególnie oczarowały mnie zbiory specjalne.

W grudniu 1952 r. mgr Jerzy Panas przeniósł się do Biblioteki Narodowej w Warszawie a dyrektorem Biblioteki UMCS został mgr Tadeusz Smółka, b. wicekurator LOS, człowiek stateczny, inteligentny, społecznie dojrzały, o dużym doświadczeniu administracyjnym. Od tego czasu rozpoczęło się moje wicedyrektorowanie, najpierw nieoficjalne, a od 1956 r. potwierdzone nominacją Min. Szkol. Wyż., które trwało do 1 X 1970 r. Dyrektor Smółka posiadał dużą wiedzę ogólną, znał przepisy prawne, toteż wiele nauczyłam się od niego. Usposobienie miał nieśmiałe, lubił, żeby otoczenie potwierdzało jego poczynania. Do dziś właściwie nie wiem, dlaczego na mnie padł wybór na wicedyrektora. Były wówczas w bibliotece osoby lepiej zorientowane. Podobno jednak ja, jak mówił dyrektor,

nie załamywałam się w krytycznych momentach, a tych niestety w bibliotece nie brakowało. W porównaniu z innymi bibliotekami uniwersyteckimi nasza była najmniejsza, najsłabsza. Tym bardziej gorzko to odczuwałam, im więcej bibliotek miałam okazję widzieć.

Główną troską dyrekcji na przestrzeni wielu lat były sprawy lokalowe, zabezpieczenie miejsca na już zebrany i stale rosnący księgozbiór. Starania te szły dwoma torami. Z jednej strony chodziło o uzyskanie przestrzeni jak najszybciej, gdyż tysiące książek zalegało w piwnicach, barakach i innych lokalach, najmniej nadających się do przechowywania druków. Drugi kierunek starań, zapoczątkowany jeszcze przez Wł. Skoczylasa, zmierzał do zaprojektowania i budowy odpowiedniego nowego gmachu, przeznaczonego wyłącznie dla biblioteki. Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, aż do roku 1968, kiedy nowy gmach został wybudowany — to nieustanne pisanie memoriałów, artykułów o tragicznej sytuacji lokalowej. Nie było końca naradom, konferencjom w sprawie programu użytkowego oraz wyboru właściwego projektu. Wreszcie rozpoczęły się starania o wprowadzenie budowy do planu, bo i z tym były duże trudności. W roku 1958, w związku z XV-leciem Polski Ludowej, udało się doprowadzić do podjęcia uchwały Rady Ministrów przesądzającej budowę gmachu biblioteki. Miała to być biblioteka międzyuczelniana dla 4 uczelni lubelskich: UMCS, WSR, WSInż. i AM. Jak się później okazało, idea wspólnoty była za trudna do wprowadzenia w życie. Projektantem gmachu był mgr inż. arch. T. Witkowski, który pozostawał w stałym kontakcie z dyrekcją biblioteki. Budowę zrealizował Zarząd Inwestycji Szkół Wyższych pod dyrekcją dra Z. Kowalskiego.

Tymczasem, cofając się do lat pięćdziesiątych, na co dzień trzeba było borykać się z brakiem miejsca i nieodpowiednimi pomieszczeniami. Lokal przy ul. Staszica 4 stawał się nie tylko za ciasny, ale na skutek sąsiedztwa Zakładu Chemii Akademii Medycznej, nie do użytku. Wyziewy trujących gazów, zwłaszcza siarkowodoru, przedostawały się do biblioteki i truiły pracowników. Było kilka wypadków ciężkich zachorowań i pilnie trzeba było się przenosić. Biblioteka otrzymała wówczas w miarę duży zabytkowy lokal przy kościele św. Pawła. Tam zwieziono najpierw książki z piwnic i baraków, które z początku leżały na stosach w salach i korytarzach, czekając na selekcję. Stałe przeprowadzki i przewożenie zbiorów były na porządku dziennym. Posługiwano się przy tym samochodami ciężarowymi lub nawet zwykłymi furmankami. Książki wrzucano ręcznie, w najlepszym wypadku wiązano je w paczki, nie zawsze był jednak na to czas. Zdarzało się, że po drodze książki ginęły lub w czasie postoju ściągali je chłopcy z ulicy. Ileż to razy konwojowałam takie transporty i patrzyłam, jak książki spadały w błoto, obchodzono się z nimi po barbarzyńsku, a opomnienia nie skutkowały.

Wiele energii pochłaniały niezbędne adaptacje, między innymi lokal przy Podgrodziu 4 wymagał kapitalnego remontu. Ciągłe przerzucało się książki z sali do sali i na korytarze. Firmy remontowe nie działały sprawnie, walczyło się z różnymi ekipami zduńów, malarzy, kominiarzy. Lokal był trudny do wyremontowania; sale duże, sklepienia gotyckie, brak urządzeń sanitarnych, które trzeba było dopiero instalować. W rezultacie remontu przy ul. Podgrodzie 4 uzyskaliśmy pomieszczenia nieźle urządzone, o historycznym wystroju. Lubiłam pracować na Podgrodziu, z okien sali I p. widać było piękną panoramę Lublina. Często były dzwony kościelne, a z innych okien widać było małe wewnętrzne podwórko, gdzie na wiosnę siostry zakonne uczyły małe dzieci ubrane na biało sypać kwiatki. Wszystko to razem tworzyło niecodzienny nastrój.

Tam na Podgrodziu dokonywaliśmy selekcji zbiorów. Każde wydawnictwo trzeba było wziąć do ręki, zorientować się, czy będzie przydatne, zaklasyfikować pod względem treści, języka i formy wydawniczej. Selekcja była niewdzięczną pracą, bowiem książki znajdowały się w opłakanym stanie. Czyni społeczne podejmowane z okazji świąt państwowych i różnych rocznic, najczęściej obejmowały właśnie selekcję zbiorów. Wiele wieczorów i niedzielnych ranków spędziłam na Podgrodziu, selekcyjując wydawnictwa. Miało to swój urok: pracowało nas po kilka osób, nawzajem pomagaliśmy sobie — panował miły, koleżeński nastrój. Największe zasługi przy selekcji położyła Zofia Wyszyńska, osoba starsza, znająca dobrze języki. „Przekopala” ona całe masy czasopism, dobrała tytułami, z czasem została kierownikiem oddziału opracowania czasopism. W latach pięćdziesiątych Min. Szkol. Wyższego przyznawało środki na prace zlecone, chodziło bowiem o opracowanie zaległych zbiorów. Angażowało się wówczas całe ekipy studentów, emerytów, pracowników innych bibliotek, wolno było również zatrudniać dodatkowo własny personel. Na Podgrodziu 4 pracowało się od rana do nocy. W tym zabytkowym lokalu nie brakowało i humorystycznych momentów. Kiedyś zadzwoniła do dyrektora przerażona pracowniczka, że nietoperz zakręcił się jej we włosy, inna znów, że mysz spaceruje po sali, a ona stoi na stole i boi się zejść. Często, gdy nie można było znaleźć jakiejś książki lub numeru czasopisma, odpowiadało się „jest w wannie”. Na Podgrodziu bowiem była nieczynna łazienka, gdzie w wannie leżały druki zbędne. Z czasem biblioteka otrzymała jeszcze jeden lokal, przy ul. Narutowicza 4; znowu były przeprowadzki i remonty. Na Podgrodziu 4 pozostały magazyny, oddział starych druków, oddział czasopism i pracownia reprograficzna, do lokalu przy ul. Narutowicza 4 przeniosła się dyrekcja, czytelnia, administracja, oddziały: gromadzenia, opracowania, informacji i bibliotek zakładowych. Oba lokale przy Podgrodziu 4 i Narutowicza 4 zaliczano do zabytków, co miało swój urok, były jednak ciemne, ponure

i bardzo zimne, szczególnie odczuwało się to na jesieni i zimą. Trzeba było przynosić z domu dodatkowe kurtki, kożuszki, by nie zaziębić się. W czasie przerwy na śniadanie zazwyczaj skupiałyśmy się koło kaflowych pieców, by się ogrzać. Ciężkie jednak warunki nie deprymowały nas; żyło się biednie, ale w przyjaźni i z humorem. Najbardziej nieznośne warunki miał w latach 60-tych Oddział Opracowania Zbiorów, kiedy został przeniesiony na ul. Pstrowskiego 12. Było tam kilka pomieszczeń, ale tak ciemnych, że cały dzień paliło się światło elektryczne. Ten lokal upamiętnił mi się w czasie którejś bibliotecznej zabawy, kiedy wyglądał jak spelunka przybrana kolorowymi festonami.

Zakres moich obowiązków był szeroki. Miałam swój udział we wszystkich sprawach ogólnych, a więc lokalowych, organizacyjnych, finansowych i personalnych. Wspólnie z dyrektorem opracowywaliśmy plany, sporządzali sprawozdania. Z czasem tak się utarło, że dyrektor opracowywał sprawozdania z lat akademickich, a ja sprawozdania roczne. Przez kilkanaście lat prowadziłam kronikę biblioteki, pisałam także artykuły jubileuszowe na 10-lecie, 15-lecie i 20-lecie biblioteki. W ostatnich latach swojej wicedyrektury wydałam jako dodatek do Biuletynu B-ki UMCS sprawozdanie z działalności biblioteki za r. 1968, 1969 i 1970. Usiłowałam też choć w minimalnym stopniu prowadzić dokumentację zbiorów przez wydawanie wykazów czasopism zagranicznych prenumerowanych przez bibliotekę. Jednym z moich obowiązków wicedyrektorskich było prowadzenie szkolenia wewnątrzbibliotecznego. Bardziej doświadczonych pracowników dyrektor wysyłał na praktyki lub kursy do innych bibliotek uniwersyteckich. W latach pięćdziesiątych praktyki międzybiblioteczne II stopnia, które potem pasowały ich na bibliotekarzy dyplomowanych, ukończyli: mgr T. Smółka, mgr M. Adrianek, mgr St. Pawelec, mgr St. Fedorko, mgr B. Flanczewska i mgr M. Jasienowicz. Swoją praktykę odbyłam w Krakowie w Bibliotece Jagiellońskiej, dała mi ona bardzo dużo. Nie mogłam nacieszyć się wspianym lokalem, czytelnią, katalogami, gdzie spotykało się kartki pisane jeszcze przez K. Estreichera. Najwięcej czasu spędzałam w czytelni, gdzie przeglądałam encyklopedie, bibliografie i spisywałam sobie wartościowe wydawnictwa, żeby sprowadzić je potem do naszej biblioteki. Z zamiłowaniem też odrabiałam ćwiczenia bibliograficzne, kiedy kazano nam zestawiać literaturę na różne tematy. Kraków przy tym miał tyle dodatkowych atrakcji, jak muzea i teatry, z których korzystałam w miarę możliwości. Po powrocie do własnej biblioteki pełna byłam zapału, żeby innych zachęcać do pogłębiania wiedzy bibliotecznej. Co miesiąc organizowałam zebrania szkoleniowe, na których coraz to inni prelegenci wygłaszali odczyty. Zapoczątkowałam w naszej bibliotece sprowadzanie bibliotekarzy z innych miast. Jako jeden z pierwszych przyjechał do Lublina dyrektor Biblioteki AGH Władysław Pia-

secki. Mówił na temat budownictwa bibliotecznego, lansując budownictwo modułarne, którego był zwolennikiem. W następnych latach przyjeżdżali: mgr A. Romańska, wicedyrektor Biblioteki UW, doc. K. Świerkowski, prof. UW, dr St. Kotarski, opiekun bibliotek PAN, dr St. Maksymowicz z Biblioteki U. Wrocławskiego. Sprowadzanie prelegentów powiązane było z moimi pracami społecznymi. Finansował je przeważnie Związek Nauczycielstwa Polskiego, gdzie pełniłam przez wiele lat funkcje przewodniczącej Podsekcji Bibliotekarzy Szkół Wyższych. W zakresie szkolenia współpracowałam z innymi bibliotekami na terenie miasta, przede wszystkim z Wojewódzką Biblioteką Pedagogiczną, żyjąc w wielkiej przyjaźni z dyrektorką Krystyną Lisowską, przewodniczącą Sekcji Bibliotekarskiej ZNP. Razem urządałyśmy prelekcje i organizowały wyjazdy szkoleniowe do innych miast dla wszystkich pracowników bibliotek lubelskich. Na zebraniach szkoleniowych sama też dość często wygłaszałam prelekcje.

Osobny rozdział w moim bibliotecznym życiu stanowiły delegacje. Dyrektor T. Smółka nie lubił jeździć. Mnie nęcił świat i ludzie, więc chętnie jeździłam w jego zastępstwie. Dzięki delegacjom byłam po wojnie we wszystkich większych miastach polskich, poznałam niemal cały świat biblioteczny i wszystkich jego koryfeuszy. Bywałam też na zjazdach Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich i Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz na kursach organizowanych przez te stowarzyszenia. Zapoznałam się nie tylko z bieżącymi problemami bibliotek, jak budownictwo, wyposażenie, czytelnictwo, ale także poznawałam historię polskich bibliotek, ich twórców, mecenasów, a także najlepszych bibliotekarzy współczesnych. W pamięci mi zostały także zjazdy, jak na 600-lecie UJ, kiedy zwiedzałam rozbudowaną Bibliotekę Jagiellońską i Muzeum Uniwersytetu, gdzie pięknie o dziejach uczelni mówił prof. K. Estreicher oraz zjazd na 150-lecie Ossolineum we Wrocławiu z bogatą wystawą starodruków i wydawnictw Ossolineum. Widywałam i słuchałam na konferencjach nie żyjących już dziś wybitnych bibliotekarzy, jak Bogdan Horodyski, Ryszard Przelaskowski, Marian Franciszek Antoni Des Loges, a spośród współczesnych prof. H. Więckowską, docenta J. Baumgarta i wielu innych.

Zamiłowanie do podróży pozwoliło mi też poznać większość bibliotek krajów socjalistycznych i ZSRR, które zwiedzałam przy okazji prywatnych wycieczek. Głównym nurtem mojej działalności było gromadzenie i uzupełnianie zbiorów. Temu poświęciłam swe siły i umiejętności. Tworzenie księgozbioru biblioteki i związane z tym prace — to główny cel Oddziału Gromadzenia. Polityka gromadzenia była też częstym tematem zebrań dyrekcji i Komisji Bibliotecznej. Zadanie to utrudniał zmieniający się profil uniwersytetu, który na początku miał wydziały przyrod-

nicze, a z biegiem lat wzbogacił się o keirunki humanistyczne. Zbiory Biblioteki Głównej interesowały przede wszystkim humanistów, a właśnie dla nich brakowało książek, gdyż nie było wydawnictw dawnych, przedwojennych, które gromadzi się latami. Zaopatrywanie w literaturę bieżącą w pewnym stopniu rozwiązał egzemplarz obowiązkowy, który przyznano bibliotece w 1954 r. To podstawowe źródło przyprływu książek, jakim stał się egzemplarz obowiązkowy, pozwoliło nam wybić się ponad inne biblioteki lubelskie w zakresie posiadania kompletu wydawnictw PRL. Wprawdzie organizacja i selekcja przysparzała nieco kłopotów, zwłaszcza jeśli chodzi o nadsyłanie wielkiej ilości gazet i dokumentów życia gospodarczego, których nie było gdzie składać w trudnych warunkach lokalowych naszej biblioteki, ale w sumie to było wielkim dobrodziejstwem.

Istotę mojej pracy w oddziale gromadzenia stanowił zakup. Utrzymywałam kontakt ze wszystkimi księgarniami w Lublinie, w razie potrzeby pisałam do Warszawy lub innych miast. Książki, książki i jeszcze raz książki, to był przedmiot mojej codziennej pracy i dozgonnej miłości. Bardzo lubiłam przychodzić do księgarń, spędzać tam długie godziny, przeglądać półki; każda nowość mnie cieszyła. Ileż to razy odkładałam sobie do przeczytania „na emeryturze” ciekawsze pozycje. Moje rozproszone zainteresowania historią, psychologią, podróżami, obcymi krajami, a także pamiętnikami, biografiami znajdowały tu ujście. Ludzie książki, ich pamiętniki, a szczególnie losy księgarzy, wydawców i redaktorów stawały mi się bliskie, były przedmiotem moich lektur, a także referatów i odczytów.

Jako kierownik Oddziału Gromadzenia miałam obowiązek wyszukiwać w obcych bibliografiach dezyderatów dla Biblioteki Głównej oraz uczestniczyć w Senackiej Komisji Bibliotecznej, omawiającej sprawy importu dla uczelni. „Cóż może być przyjemniejszego niż przeglądanie katalogu” powiedział podobno pisarz francuski Anatole France. Z czasem to zajęcie stało się dla mnie pasjonujące. Dzięki bibliografiom narodowym i katalogom księgarskim skompletowałam zbiór zagranicznych encyklopedii w czytelni humanistycznej oraz słowniki specjalne z różnych dziedzin wiedzy.

W maju każdego roku kilkusobowa delegacja z naszej biblioteki jeździła wspólnie na Międzynarodowe Targi Książki w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Nie opuściłam żadnych. Była to szalona przyjemność oglądać wydawnictwa, grafikę, płyty z różnych krajów. Zaczarowany, kolorowy świat książki i ilustracji fascynował i upajał. Dostawało się zawrotu głowy od barw, wielojęzycznych rozmów, tłumów. Pracy było wiele, gdyż wybierało się i spisywało wydawnictwa przydatne dla biblioteki.

Od początku mojej pracy w bibliotece miałam wiele do czynienia z czasopismami, a nawet, o ile sobie przypominam, w pierwszych latach osobiście chodziłam do kiosku i MPiK-u kupować prasę krajową i zagraniczną. Co roku też składałam zamówienia na prenumeratę. Trudności były z czasopismami zagranicznymi, na których bardzo zależało zakładowi. Zależnie od ogólnej sytuacji w kraju zmieniały się limity dewiz. Często trzeba było tytuły skreślać, co wywoływało niezadowolenie, które najbardziej odczuwała biblioteka, a w niej ja osobiście. W związku z tym kiedyś zupełnie niesłusznie zostałam obrzucona przykrą „wiązaną” przez jednego z mniej opanowanych profesorów. Nie tylko fachowe czasopisma, jak *Chemical Abstracts*, były przedmiotem przetargów. Czytelnicy domagali się takich wydawnictw, jak *Paris-Matsch*, *Spiegel*, *Geographic Magazine* itp.

Rok 1968 był przełomowy w dziejach biblioteki. Został wybudowany nowy gmach i przenosiliśmy się do niego z 5 punktów miasta. Plan przeprowadzki był opracowany przeze mnie. Najważniejsze były magazyny, one przeprowadzały się najpierw, gdyż chodziło o przeniesienie księgozbioru w należyтым porządku. Przeprowadzka rozpoczęła się na wiosnę i trwała do jesieni. Pamiętam dobrze ten gorący lipiec, kiedy z kierownikiem K. Stolą przeprowadzaliśmy się z ul. Narutowicza 4. Większość osób była na urloпах. Trzeba było ciągle zabiegać o samochody i ludzi do prac załadunkowych, z czym zawsze były trudności. Nowy gmach w porównaniu z naszą ciasnotą wydawał się bardzo duży. W ciągu dnia biegałam kilometrami po korytarzach i salach, przyzwyczajona do osobistego porozumiewania się z ludźmi. Jednocześnie z przeprowadzką trwały nieustanne konferencje z innymi bibliotekami o podział lokali w gmachu. Myśl stworzenia jednolitej biblioteki międzyuczelnianej, dla której budowany był gmach w sposób tradycyjny z wyodrębnioną drogą czytelnika, książki i pracownika, musiała upaść. Każda z bibliotek była odrębną jednostką prawną, osobno finansowaną i nie chciała tracić swojej tożsamości. Stanęło w końcu na tym, że poszczególne biblioteki otrzymały osobne pomieszczenia, wspólne zostały tylko czytelnie. Zrobiło się ciasno. Poszczególne uczelnie broniły interesów swoich bibliotek, zaczęły się walki o każdy pokój. Nie znosiłam tych narad, sporów o lokal i władzę. W tym czasie bardzo ciężko rozchorowałam się. Przez kilka miesięcy byłam na leczeniu klinicznym. Po powrocie zrezygnowałam z wicedyrektury, zatrzymując kierownictwo Oddziału Gromadzenia. Przeprowadzałam jeszcze w tym oddziale 5 lat do r. 1975.

W roku akademickim 1974/75 otwarto na naszym uniwersytecie zaoczne studia bibliotekoznawstwa i informacji. Podjęłam na nich wykłady i ćwiczenia z bibliotekarstwa. W 1975 roku ukończywszy 60 lat przeszłam na emeryturę. Zostałam jednak zatrudniona „na umowę” po kilka go-

dzin dziennie w Oddziale Informacji Naukowej, gdzie opracowywałam kwerendy i zbierałam materiały do bibliografii. Zajęcia te polubiłam, gdyż wykorzystywałam przy nich swoją znajomość księgozbioru. Trwało to do roku 1977, kiedy to ponownie bardzo ciężko zachorowałam i musiałam zrezygnować z pracy.

Z biblioteką jednak nie potrafiłam się rozstać — więzy przyjaźni trwają nadal. Zdaje mi się, że tylko chwilowo jestem na urolopie, że jutro znowu pójdę przez ogród botaniczny do mojej biblioteki.